

Jakiś dziwny magnes ciągnął ją do tego nędznego współnika. I pomimo, iż nowy i ostateczny miała dowód jego podłości i zdrady, czuła do niego mniej żalu, niż do ojca i do siebie.

— To stało się z naszej winy — mówiła do siebie. — To jest człowiek, z którym inaczej postępować trzeba było. Jest silny, a myśmy go lekceważyli. On nas rujnuje, ale robiąc to, mści się! I nic nie ryzykuje! Załatwił moją sprawę małżeńską, teraz ją rozwiązuje. Przechodzi na stronę Janiny le Brenn i grubo na tem zarobi! To człowiek z mocną głową i wytkniętym celem. Gdyby go można jeszcze dla nas pozyskać! Gdyby chciał zniszczyć to, co zrobił, odwołać i razem z nami walczyć przeciw tamtym!

W tej chwili zdenerwowania i szalonej rozpaczsy Sydonia w nagrodę byłaby siebie poświęciła, aby zniszczyć jednym zamachem całą rodzinę Kermorów, Janinę i tego nowego, najstraszniejszego wroga, Allana le Brenn! Bo nigdy przewidzieć nie mogła podobnej ostateczności, aby ta mała Bretonka mogła być dziedziczką milionowego majątku.

Do uroku jej młodości i wdzięku dodawano jeszcze złotą aureolę posagu. Jakże nienawidziła tę dziewczynę, która zabrała jej serce jedynego człowieka, którego żoną zostać pragnęła. Nigdy jeszcze pragnienie zrodni nie oświadczyło jej z taką siłą, jak teraz! Bo dziś już lekceważyć wpływu tamtej nie mogła. Runęły wszystkie plany, mogące ją zohydzić w oczach młodego hrabiego, pozostawała ta sama dawna jego ukochana, wyidealizowana jeszcze do szczytu przez cierpienie i niewinnie znoszone potwarze. Dusza Sydonii miotana się szalonym buntem, pragnieniem zemsty. Już żadna ostrożność nie kładła tamy jej wściekłości. Chętnie, gdyby było w jej mocy, byłaby się posłużyła podstępą bronią apaszów — nożem.

Sydonia szła na plac Giełdy, do banku Andreja Delrue, spiesznym, nerwowym krokiem, oddając się całkowicie wpływowi rozkiełzanych myśli i pragnień. Instynktownie czuła, że jedynie w tym człowieku, jeżeli się go dobrze wynagrodzi, znaleźć może pomoc i zrozumienie.

Andrej Delrue, po odejściu Allana, pozostał w swoim biurze bezsilny i przybity. Zdawał sobie niejasno sprawę, że jest człowiekiem zgubionym, idącym ku nieodwołalnej przepaści. Nie powinien był zrobić tego, co od niego żądano, a jednak na dnie jego sumienia mieściło się tłumaczenie się koniecznością. Tak! to była straszna konieczność. Najwyższe prawo, rządzące na świecie, wyższe ponad wszystko!

Miał także w posiadaniu pewne zadośćuczynienie: czek, wydany przez Allana, wartości miliona franków. W obecnej chwili Delrue mógł już posiadać majątek, wynoszący pięć milionów franków, gdyż taki kredyt wszędzie mając, już taką podstawę mógł uzyskać.

A jednak pomimo tak uroczej perspektywy, Delrue czuł, że może lada chwila utracić wszystko.

Allan le Brenn mógł jeszcze powrócić i tym razem pomówić z nim o sprawie z ulicy Entrepot. Z markizem de Kermor stosunki zerwane, Henryk nieprzyjaciół niczem nieprzejednany. Ze strony zaś bankiera de Bressien i jego córki groziła mu doraźna zemsta. A jeszcze był przecież pan Collin-Megret i pani Wiktorya, których za milczenie grubo opłacić trzeba będzie. A kto wie, jakie wymagania będą tych dawnych współników, dziś doprowadzonych do nędzy!

Sytuacja nie przedstawiała się więc wesoło. Było nad czem myśleć i czem niepokoić się. Nie wiedział również Delrue, ile odbitek uczyniono z jego kwitu i czy poczynione przed Allanem wyznania nie zaprowadzą go do więzienia, jeżeli z nich tamten będzie chciał uczynić użytek!

Teraz Delrue coraz żywiej wyrzucał sobie, dla czego zgodził się na to zeznanie i na podpisanie go. Dlaczego wogóle przyznał się, że wiedział cokolwiek tycającego się sprawy Janiny le Brenn! Nie mógł inaczej uczynić? Mógł zaprzeczyć wszystkiemu, ostrzej wystąpić! Ale znowu kategorycznie odmówić nie mógł wobec groźby rewolwera przeciwnika. A przytem był jeszcze ten czek, milion franków.

— Byłbym zarobił tę sumę — myślał Delrue — operując na akcyach kopalnianych. To Allan traci, nie ja! Zwraca mi akurat różnicę kursu.

Po chwili namysłu Delrue podszedł do telefonu i zadzwonił. Chciał rozmówić się ze swoim sekretarzem, ale nie wiedział, od czego ma zacząć rozmowę.

— Czy to pan, panie Delrue? — zabrzmiało w aparacie. — Czego pan żąda?

— Czy akcje idą w górę?

— Nie. Zastój zupełny.

— Smith z Londynu radzi mi sprzedać.

— Dobra rada. Czas najwyższy.

Ciężkie westchnienie wybiegło z piersi Andreja Delrue.

— No, to sprzedaj pan natychmiast — rozkazał.

Odłożył słuchawkę i ciężko usiadł w fotelu. Uśmiech goryczy i gniewu skrzywił jego usta.

— Warto być bankierem! — szepnął — tyle trudu, tyle pracy, tyle nadziei. Lepiej kamienie na ulicy łamać. Niema co! Nie trzeba się dalej łudzić! Jestem na złej drodze.

Godzina drugiego śniadania, a Andrej Delrue nawet nie zauważył tego. Niepokój i troska o najbliższą przyszłość oebrały mu zupełnie pocucie rzeczywistości codziennej. Od czasu do czasu osłupiałym wzrokiem spoglądał na drzwi, jak gdyby w przeczuciu nowego jakiegoś nieszczęścia.

Nagle w przedpokoju rozległ się donośny i rozkazujący głos kobiety.

— Nie potrzeba mnie meldować. Pan Delrue oczekuje mnie.

Drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Do pokoju weszła Sydonia de Bressien. Delrue nie okazał żużiwienia na jej widok. Z takim człowiekiem, jak ten niebezpieczny Allan de Brenn, wszystko musiało iść w przyspieszonym tempie. Wstał, lecz nie wychodził z poza biurka, które stanowiło teraz dla niego pewną obronę. Z ust jego wybiegło tylko jedno słowo „już“ i pochylił nisko głowę pod ciężarem katastrofy, która go czekała.

— Ładnie pan pracował przez te ostatnie godziny — rzuciła bankierówna, wyzywająco stojąc przed byłym swoim współnikiem. — Muszę panu szczerze powinszować tej roboty.

Andrej Delrue przechodził straszne chwile. Oświadczył nim niski, podły strach. Powieki jego drżały nerwowo, a spojrzenie stało się mętne i niepewne. Błyszczące, wściekłe spojrzenie Sydonii odbierało mu przytomność umysłu.

Próbował tłumaczyć się, stawić czoło napaści i wyszeptał z trudem:

— Przecież mi pani dała zupełną odpłatę. — Prawie za drzwi wyrzuciła.

— A pan się zemścił i doprowadził do tego, że mnie z kolei wyproszono z domu markizy de Kermor.

— Ja?

— Pan! Przez pośrednictwo tego szalonego Amerykanina. Zadenuncyował mnie pan najbezczelniej! Zniszczył całą moją przyszłość, zgubił ojca! Może się pan wyprze tego?!

Delrue mimowoli spojrział na zegar stojący na biurku. Godzina zaledwie minęła od wizyty Allana, od jego wyjścia z tego samego biura. Przewidywana katastrofa wybuchła, lecz Delrue nie spodziewał, żeby to tak prędko się stało. Jednakże jakaś nadzieja zajaśniała w jego umyśle. Sydonia więcej okazywała gniewu, niż groźby, była więc mniej niebezpieczną. Może jeszcze dojdzie z nią do jakiego porozumienia.

— Nie rządę faktami — odparł już silniejszym głosem — ale tak, jak każdy człowiek, znoszę je. Tak, jak prawo silniejszego. Dotąd deptano mię ciągle.

— I płaceno!

— Allan kazał mi wziąć zapłatę, jak niegdyś Collin Megret, pani i inni. Jestem bezsilny — siły obu stron nigdy nie są równe. Nie mogłem się mu oprzeć. Z resztą, poco miałem się opierać — dodał zuchwale, widząc, że Sydonia wyczerpana wstrząśnieniem usiadła, widocznie zmęczona i przybita. — Każdy musi chronić siebie, swojego interesu. Nie mam się z czego chwalić, bo to, co uczyniłem dla ojca pani i aby doprowadzić do związku pani z hrabią de Kermor...

— Nie mówmy o moim małżeństwie — przerwała szybko Sydonia. Jest już na zawsze zerwane. Lepiej mówmy o małżeństwie Janiny le Brenn. Uczynił je pan teraz możliwym, a również zerwane być musi, tak jak moje. Słyszysz pan, panie Delrue? Wiele się zyskuje, niszcząc swoje dzieło! i jest to odwet na nieprzyjaciół! Na człowieka, który jest panem i władcą czyjegoś życia! Otóż tym nieprzyjacielem jest od teraz dla pana Allan le Brenn! Zemść się! Zemść się nas wszystkich, Delrue!

— Delrue bezsilnie potrząsnął głową:

— Na Allana mścić się nie można! Czy jest sposób na to?

— Sydonia roześmiała się nienawistnie i przebiegle.

— Sposób? znam, pewny!

— A korzyść?

— Taka, o jakiej pan nie mógł nigdy nawet zamartwić!

— Przeraza mnie pani — rzekł Delrue drżącym, cichym głosem. — Co znaczą pani słowa?

— Tę przepaść możemy złotem wypełnić — wybuchła Sydonia, zrywając się gorączkowo — i miłością naszą! Rozumiesz mnie, Delrue. Byłaby to miłość rozważna, wywołana, która stałaby się mogła najstraszniejszym odwetem! — Pomyśl tylko! Związek nas obojga! Jeżeli żyć będziemy cncieli teraz każde osobno, dla siebie, zginiemy! to jasne. Ale połączenie się nasze tryumf nam przyniesie! Będzie to związek dwóch istot na śmierć skazanych!...

— Śmierć!... — wyszeptał Delrue, cofając się mimowoli. — Nie! nie chcę!

— Miłość i majątek — wyrzekła silnie Sydonia. Posag Sydonii de Bressien i posag Janiny le Brenn. Obydwa nasze banki zjednoczone i miliard Allana!

— Sydonio! to szaleństwo!

— To jest możliwość, pomyśl nad tem Delrue.

Spojrzenia ich się zbiegły, pełne obietnic, wzbudzonej zemsty i nadziei. W milczeniu zawarli ze sobą w tem spojrzeniu przymierze na całe życie. Jakim ono będzie, nie wiedzieli jeszcze! Czuli tylko, że już teraz jedno bez drugiego, marnie na zniszczenie pójść musi! Delrue jednak w oczach Sydonii wyzytał już myśl i plan powzięty. I to, co wiedział, było straszne, ostateczne i niebezpieczne! Rozpocznęła się gra nowa, nieubłagana, na śmierć i życie!

Andrej Delrue doznał olśnienia! On, ten parias, włóczęga bezdomny i ścigany przez władze jak zwierzę, niewolnik pokorny barona de Bressien i ciągle drżący współnik bandy Collin-Megret, mógł teraz stać się panem i władcą, przed którym wszyscy kornie czoła uchylać będą!... Już widział dzień, który mu otworzy drzwi do tryumfu! Kościół św. Magdaleny rześcicie oświecony i wyłożony dywanami, pełny kwiatów rzadkich i drogich i on w czarnym ubraniu, z podniesioną głową, kroczący pewnie i dumnie obok swojej wspaniałej, zwycięskiej narzeczonej, owianętej w zwoje tuiów i śnieżnych koronek!... Zebrani tłumnie goście najwybitniejszego świata witali ich przyjście ukłonami i uśmiechami pełnymi szacunku i zazdrości. Pod wpływem tej uroczej wizji przyszłości, nagle przemiana przeobraziła całą jego postać. Skróczona boleśnie twarz wypogodziła się, oczy zajaśniały blaskiem, ruchy nabrały pewności.

Sydonia badawczo i upornie patrzyła na swojego współnika. Odrzuciła go wczoraj jak sprzęt niepotrzebny, a dziś musiała podjąć na nowo i wpleść w swoje życie!... Patrzyła na niego przenikliwie, badając, czy okaże się na wysokości zadania, jakie mu powierza! Teraz już nie czuła żalu do niego, skoro godził się być nadal jej narzędziem zemsty i szalonej ambicji!...

— Delrue — odezwała się wkońcu — ojciec mój zawinił względem pana, a pan przeciw niemu... Mnie zaś zadałeś cios straszny! Co ja ci uczyniłam złego, że tak ze mną postąpiłeś?

— Nic, Sydonio, przyznaję, ale zasłużyłem chyba na lepsze wynagrodzenie, jak to, które odebrałem od was. Wyrzuciliście mnie jak lokaja z waszego domu!... Należało mi się podziękowanie, bo przecież doprowadziłem do tego, czegoście odemnie żądali.

— Przypominam, że nazajutrz zniszczyłeś roztęmiennie wszystko! Zniszczyłeś ojca. O sobie już mówić nie chcę!

— Mylisz się, Sydonio! Nie przyczyniłem się w niczem do wyjazdu Henryka.

— Kłamstwo jest niepotrzebne między nami. Zło się już stało. Lepiej teraz pomyśleć o naprawieniu go. Śmierć tylko jedna jest nie do odrobienia.

— Nie kłamie. Gdybyście zamiast obrażać mnie, posłuchali mojej rady po katastrofie, byłobyście się dowiedzieli całej prawdy. Po scenie wiadomej pani u pani Wiktoryi, po aresztowaniu Janiny, poszedłem z Henrykiem na kolację. Henryk był nienaturalny, pił dużo, wkońcu pożegnał mnie, mówiąc, że musi koniecznie sam pozostać, gdyż chce się namyślić i rozerwać trochę. Co się właściwie stało, tego nie wiem, ale łatwo się domyślić. Musiał mieć przy sobie list od swojego towarzysza z ekspedycji afrykańskiej, niejakiego de Saneuville. Otóż w tym liście donosił mu, że on i Allan byli w drodze na nową wyprawę i że za dwa dni będą u Boulogne-sur-Mer na parowcu „Hamburg“. Prosił Henryka, żeby opóźnił swoje małżeństwo i żeby koniecznie widział się z Allanem w sprawie jego planów kolonialnych. Powtarzam pani, że w niczem nie przyczyniłem się na postanowienie Henryka. Zamiast powrócić do pałacu, Henryk pospieszył do nich.

(Ciąg dalszy nastąpi).